

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki**.

(Dalszy ciąg).

Wszyscy ze zdziwieniem spoglądali na młodą kobietę, która odzyskawszy swój dawny, swobodny i wesoły humor, zapomniała o żalu do męża za tajemie przed nią swego ciężkiego zmartwienia, i teraz stała promieniejąca szczęściem, po przejściu pierwszych chwil smutku i żalu.

— Ależ, dziecko moje, bawisz się z nami w jakieś zagadki — rzekła niecierpliwym trochę głosem matka Zygmunta — powiedz nam raz, kochanko, co to wszystko ma znaczyć.

— To ma znaczyć, mamó kochana — odrzekła poważnie — że z gospodarstwa mego zbierałam i zbieram bardzo znaczne sumy, które mi procent przynoszą. Ty, Zygmunco, tak mało zawsze zwracałeś uwagi na moje zajęcie, na moje zabiegi w gospodarstwie, że czasem żal miałam do ciebie o to. Wszystkim się zdawało, że ja się bawię tylko, a jednak i z pasieki, i z ogrodu, i z nabiału, duże ciągnęłam zawsze korzyści. To nie była zabawka, to była wytrwała praca kobiety, której duma nie pozwalała siedzieć bezczynnie, nie wniósłszy w dom męża posagu. Nie mówiłam ci nic o mych oszczędnościach, kochany panie, chciałam cię zadziwić ogromem mego kapitału, gdy córki dorosną; ale gdy się tak stało, że pieniądze te są ci wcześniej potrzebne, bierz je, Zygmunco, to mój posag — dodała z uśmiechem szczęścia i radości niewystowionej.

— Twój posag, Kamilko, to tve zacne serce, twój rozum i wytrwałość w podjętej pracy — rzekł ojciec Zygmunta — błogosławioną niech będzie chwila, w której zostałam córką naszą. Ale, dzieci moje, oboje zgrzeszyliście tajemieniem przed sobą rzeczy ważnych. Ty, Zygmunco, gdybyś był wcześniej o swych kłopotach powiedział żonie, nie byłbyś płacił rujnujących procentów, a ty, moje dziecko, zwierając się mężowi z tych wielkich korzyści, jakie osiągałaś z gospodarstwa, byłabyś mu oszczędziła dużo trosk i zmartwień.

— Prawda, mój ojcie — rzekł p. Zygmunta — ale czyż mogłem na chwilę chociaż przypuścić, że z mojej żony taka kapitalistka? Jeszcze i teraz wierzyć mi trudno, aby istotnie posiadała sumę mi potrzebną. Niepodobna, aby tyle uzbierać mogła.

— I mnie się to zdaje niepodobieństwem — rzekła pani B. — przecież i ja gospodarowałam, zbierało się trochę grosza, ale dwanaście tysięcy rubli, nie, ty się mylisz, Kamilko.

— Słowa me usprawiedliwię rachunkowemi książkami, gdzie każdy grosz niemal zapisany — rzekła ze spokojem p. Zygmunta. — Jestem już lat szesnaście żoną Zygmunta, i pracuję lat tyleż. Wprawdzie nie od razu pieniądze sypały się do mej szkatuły, ale też jak doprowadziłam gospodarstwo kobiece do tego, że mi zaczęło procentować, tak też już idzie rok rocznie. Proszę się zapytać Borosi, ile my to bierzemy za trzodę, za indyki i gęsi, za masło i sery. A czy sądzisz, Zygmunco, że ogród nie przynosi mi dochodu? O, i dosyć znaczny nawet; w Lublinie zbyt dobry, i nie darmo co lat kilka robisz mi podarek z jakiego podstarzałego konia, który warzywa moje wywozi do miasta. A pasieka? czy wiesz, mój panie, ile w niej ulów? nie wiesz pewnie dobrze, ty myślisz, że ja ze wszystkiego gotuję miód i zlewam w butelki, chowając je do piwnicy. O nie, mój drogi, ledwie czwartą część obracam na własny użytek, reszta się spienięża. A i te pieniądze muszą przynosić mi procent, wprawdzie nie lichwiarski, ale godziwy, taki, który nie plami sumienia.

— Ależ kochanko — rzekł pan Zygmunta zdziwiony coraz bardziej — przecież nie dawałam ci nigdy grosza na ubranie twoje i dzieci, nigdy nie chciałam nic wziąć odemnie, sądziłam więc, że na to obracasz swoje dochody. I tak podziwiałem

twoją rachunkowość i gospodarność, nie przypuszczając, byś jeszcze kapitały gromadzić mogła.

— Nie wielka elegantka z twój żony — odrzekła z uśmiechem — a i córek mych nie przyzwyczajałam do zbyt kownych strojów, nie wydaję więc wiele na nasze ubranie rocznie.

— Gdzież są te twoje pieniądze, kochanko? — zapytała pani B., chcąc wiedzieć coś pewniejszego, zdawało jej się bowiem ciągle, że to sen tylko, całe to zdarzenie, sen miły i uspakajający, obawiała się więc przebudzenia i powrotu do troski o byt syna i jego rodziny.

— Pieniądze te wszystkie są u mego brata, Edmund przyrzekł mi tajemnicę i dotrzymuje jej święcie, a przytém zajmuje się obrotem kapitału, odbieraniem procentu, jednem słowem, wszystko spoczywa na jego głowie.

— Czy nie będzie to zbytnią niedelikatnością z mój strony — rzekł ojciec pana Zygmunta do synowej — jeżeli zapytam cię, Kamilko, jaka jest istotna suma zebrana przez twą pracę i oszczędność?

— Do dnia dzisiejszego mam rs. czternaście tysięcy pięćset dwadzieścia — mówiła powoli, patrząc z uśmiechem na męża.

— Czternaście tysięcy! — wykrzyknęli oboje państwo B. i Zygmunta — czternaście tysięcy!

— Tak — odrzekła pełna radości — czternaście tysięcy, a jeszcze tegoroczna wyprzedaż miodu nie uskuteczniła, jeszcze mam do zbycia sto funtów masła, dwadzieścia półgąsków i smalcu gęsiego funtów trzydzieści. To wszystko możesz zabrać, Zygmunco, byle jaknajprędzej spokój wrócił do twego serca. Gdy jednak zaspokoisz tego naglącego wierzyciela i zmartwienie minie, zacznę się gniewać na ciebie, żeś tań przedemną twe troski.

— Mateńko! — wołała głośno Bronisia, wbiegając do pokoju — dziecko się przebudziło i tak krzyczy okropnie, że aż się zanosi; ach, jak krzyczy!

— Niech się mama nie lęka — rzekła wchodząc za Bronisją Reginka — dziecko się przebudziło, to prawda, ale jeszcze nie krzyczy, tylko daje znać, że nie śpi.

Ojciec chciał lajać dziewczynkę, że nie może oduczyć się tej brzydkiej wady niepotrzebnego gadulstwa, ale babunia stanęła w obronie faworytki, a dziadziś zapewnił, że ona z tego wyrośnie i skończyła się na przyrzeczeniu poprawy, która jakoś powoli następowała.

Dzień ten zakończył się bardzo szczęśliwie, nawet głowa przestała boleć panią Zygmuntową od radości jakiej doznała, mogąc wyratować męża z tak ciężkich kłopotów. Po chwilo- wój jeszcze gawędce i przyrzeczeniu pokazania jutro wszystkich ksiąg rachunkowych i gospodarskich, powiedziano sobie wzajemnie dobranoc, a każdy był jakby odrodzony po przejściu niepokoju i zmartwienia.

Gdy pani Zygmunta po uspokojeniu dziecka przyszła do pokoju siostry, która zabierała się już do spoczynku, miała taki wyraz radości na twarzy, że doktorowa, spojrzawszy na nią, zawołała zdziwiona:

— Co ci się stało, Kamilko? Wyglądasz jak uosobienie szczęścia.

— Bo też szczęśliwa jestem, bardzo szczęśliwa, droga moja siostrzyczko — odpowiedziała wzruszona — wiem nareszcie przyczynę zmartwienia i niepokoju Zygmunta i w mojej mocy było zażegnać burzę, wiszącą nad nami.

Tu opowiedziała siostrze wszystko, co zaszło przez te chwile kilka.

— Jakto? — zapytała pani Z. — więc istotnie masz tyle pieniędzy? zupełnie jak wróżka w bajce czarodziejskiej! I to wszystko w tak wielkiej tajemnicy!

— Doprawdy — rzekła zawstydzona nieco pani Zygmunta — sama sobie nie umiem dziś zdać sprawy, dla czego tak się kryłam z temi memi zbiorami. Z początku zdawało mi się, że nie dojdę zbyt daleko w mém gospodarstwie, nie chciałam więc mówić o tém jeszcze wiele; później cieszyłam się myślą, jak ja to zadziwię Zygmunta, gdy w przyszłości: jeżelibyśmy wydawali którą córkę za mąż, powiem mężowi,

oto posag dla córki, uzbierany moją pracą, posag, którego sama nie wniosłam w dom twój. Ale pieniądze przydały się wcześniej i Bogu niech będą dzięki, że się dowiedziałam tajemnicy Zygmunta, która była dla mnie takim przysiębnictwem.

— Jednakże, moja droga — rzekła pani Z., po głębokim zastanowieniu — zdaje mi się rzeczą niepodobną, żeby z gospodarstwa kobiecego można wyciągnąć tak wielkie korzyści, aby z nich uzbierać wcale pokątną sumkę.

— I ja tak myślałam z początku — odrzekła — czasami przy najmniejszym niepowodzeniu opuszczałam ręce, a jednak powoli i wielką trudnością usunąć się dało. Gdy pierwsze tysiąc rubli oddałam do rąk Edmunda, byłam nad wszelki wyraz szczęśliwą, a ten brat ukochany, widząc radość moją, że już zaczynam zbierać z pracy swój zysk, powiedział mi, że te tysiąc rubli bierze na swoją odpowiedzialność i będzie niemi osobno obracał, a jeżeliby mu się nie powiodło, ja straty nie poniosę. Co robił i w jakie oddawał je ręce, nie wiem, odbierałam od nich roczny procent i potem wyszły mi z pamięci słowa Edmunda, pieniądze dokładałam rok rocznie, nigdy mniej, jak rubli sześćset, a były lata o wiele pomyślniejsze. Suma się zwiększała, procent przybywał, a chociaż wydatki się zwiększały, tak się jednak rachowałam, żeby nigdy nie naruszyć kapitału. Rok temu Edmund mi powiedział, że z mego pierwszego tysiąca rubli, przez lat dwanaście zrobił pięć tysięcy czterysta rubli; tak więc, siostrzyczko kochana, mam więcej, niżeli na razie potrzeba Zygmunтови. Tobie, Reginko, zawdzięczam me szczęście, bo twój przykład świecił mi zawsze, od ciebie nauczyłam się oszczędności i wytrwania w dopięciu powyższego celu. Od ciebie nauczyłam się odmawiać sobie wielu rzeczy, które niejeden może w moim położeniu uważałaby za konieczne.

— Bóg sownie mnie nagroził za wszelkie trudy i nieraz ciężkie chwile w życiu — rzekła pani Z., przyciągając do siebie ukochaną siostrę — szczęście twoje daje mi tę wielką pociechę, że wywiązałam się z przyrzeczenia, danego umierającej matce.

— I matka więcej uczynić dla dziecka nie może, niż ty, siostrzyczko, uczyniłaś dla nas — wyrzekła pani Zyguntowa z głęboką wdzięcznością.

* * *

(d. c. n.).

Dwa wspomnienia z Saskiego placu.

przez Wielisława.

Saski plac, dziś w opuszczeniu zostający, nie małą odgrywał rolę w życiu stariej Warszawy.

Tutaj w roku 1806, przez miesiąc jaki w mieście naszym na zamku bawiący Napoleon I-szy, odbywał codziennie gwardyj swoich i wojsk przeglądy, aby je potem wysłać za Wisłę przeciw naprzyjacielowi.

Tutaj też odbyło się mnóstwo egzekucyj wyroków sądu wojennego francuzkiego na rabusiach i dezterterach armii. Za czasów księstwa Warszawskiego, książę Józef Poniatowski, wódz naczelny wojska, także tu odbywał tak zwane wojskowe parady.

Otóż z tych czasów opowiedzieli mi świadkowie następujące zdarzenie.

Trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że za czasów Rzeczypospolitej polskiej długo sama szlachta, jako stan rycerski, miała wyłączny przywilej służenia wojskowo. Nieszlachcicowi, podobnie jak podziśdzien w Prusach, ciężko było dosłużyć się oficerskiej szlify. W niejednym pułku oficerowie nie chcieli z nieszlachcicem odbywać służby, szczególnie w konnicy, bo w piechocie i pułkach najemniczych, tak zwanych cudzoziemskiego autoramentu, mniej na to zwracano uwagi.

Lubo w wojskach księstwa Warszawskiego, organizowanych na podobieństwo demokratycznej armii francuzkiej, mowy o tych różnicach między szlachtą a nieszlachtą być nie mogło, w konnicy złożonej z ochotników szlachty niemiłym okiem bywał widziany nieherbowy, chyba iż się szczególnym meztwem odznaczył, a i ten plebejuszowski pochodzeniem swoim się nie przechwalał, rad był, gdy zapomniano o nim.

Właśnie dnia tego, o którym mowa, książę Józef odbywał przegląd świeżo uformowanych szwadronów ułańskich, szwoleżerami zwanych, którzy mieli wejść w skład gwardyi Napoleona.

Licznie zgromadzona publiczność ogólnie podziwiała dzielną postawę jeźdźców, ich konie, rynsztunek, a między innymi z upodobaniem patrzono na dorodnego oficera, wysmukłego, jak topol, młodziuteńkiego człowieka, a już ozdobionego na piersiach krzyżem legii honorowej.

Znajomi jego szeptali między sobą, że krzyż ten zyskał za odznaczenie się w bitwie pod Raszynem, że koń pochodzi z łupu wojennego, zyskanego na arcyksięciu Ferdynandzie; bo też koń ten był przepyszny, mimo iż reszta umontowania tego oficera nie świadczyła, aby do paniczów należał.

Wtém na kilka kroków od niego stanął między publicznością prosty wieśniak, już niemłody, o siwych włosach człowiek, ubrany w zwykłą mazowiecką granatową sukmanę, czapkę z siwych baranów, opasany czerwonym pasem, szakłakową laską się podpierający. Towarzyszyła mu jego żona widocznie, kobiecina już także w pewnym wieku, cała obyczajem włościanek w chusty poodziewana.

Gdy ta prostaczków para tak chwilę między przypatrującymi się stanęła, nagle stary wieśniak zawołał, składając ręce, jakby do modlitwy:

— Miły Boże, przepuść! ale ten starszy ułan, to chyba nasz Janek.

— Janek, Janek, dokumentnie Janek, nie kto — odpowiadała pocziwa Jagna — serce moje pierw od ciebie go poznało, ale nie śmiałam przed wami głupia kobieta się odezwać.

Wtém oficer, który cały wzrok wyteżał na skinienie głównego wodza, dosłyszał wołania: „Janek! Iście nasz Janek!” spojrzał na wołających i zaraz zsiadł z konia, rękę wieśniaka ucałował z pokorą i uszanowaniem, a rzucił się w objęcia otulonej w chusty, bo zimno było, matki.

Wtém zabrzmiała muzyka, defil się rozpoczął.

Oficer, spóźniony witanem rodziców, na czas konia nie dosiadł i spóźnił się. Dla utrzymania w swą moc surowego prawa wojskowego, adiutant pułku porucznika P. mimo legii i zasług do kary przedstawił.

Jenerał Fiszer, jako szef sztabu księcia, wieczorem zrobił mu zapytanie:

— Na jaką karę podać oficera, który dla przywitania rodziców z konia zsiadł w czasie książęcego defilu?

— Odebrać mu szpadę — odrzekł książę — aby się zadość stało artykułom wojskowym, do godziny obiadu u mnie; a potem na obiad do mojego stołu zaprosić.

Wypuszczony z aresztu P. pełen obawy, gdy się zdziwiony na salę jadalną książęcą stawiał, książę rzekł do niego:

— Parada nie jest bojem, gdzie prawo wszelkie ustaje. Spełniłeś prawo Boże szacunku dla rodziców, uchybienie twoje niewielkie; kto prawom Bożym choć na wojnie nawet uchybia, zły człowiek, bo sobie i innym szkodliwy. Szanując rodziców, pełnisz czwarte przykazanie. Widać, że jesteś uczciwym człowiekiem. Mianuję ciebie moim adiutantem.

Ten podporucznik P. umarł następnie w roku 1856 dopiero jenerałem, zapewne dzięki początkowej protekcji księcia doszedł tego znakomitego stopnia.

Ale i później na Saskim placu odbywały się różne zajmujące sceny.

Wielki książę Konstanty cesarzewicz, naczelny dowódca wojsk polskich, także tu niemal codzień po rok 1830 gromadził różne wojsk oddziały, dla odbycia zmiany warty i przeglądu, zwanych z cudzoziemską paradami.

Trafiło się pewnego dnia, iż do elegancko i wykwiennie ubranego, siedzącego na koniu oficera, który należał do błyszczącego książęcego orszaku, śmiało przystąpiła jakaś uboga odziana kobiecina, jak ubranie pozwalało wnioskować, jednego z małych miasteczek mieszczańska i zaczęła głośno wołać:

— Wiciu! zmiłuj się, chyba sumienia i Boga w sercu nie masz, abyś udawał, że mnie nie poznajesz i nie wiedzieć nie chcesz o téj, co cię wychowała.

— Kobieto, odczep się odemnie, ja ciebie nie znam i nie wiem, czego chcesz — wołał cały zaczerwieniony od gniewu zaczepiony oficer.

— To waryatka! — krzyknął nagle rozwścieczony, najeżdżając biedaczkę koniem.

szkole, zkad przy nadchodzącej wojnie 1812 roku, zaciągnął się do wojska. Obecnie owdowiawszy, niedostatkiem zmuszona, udała się o pomoc do dawnego wychowawcy swego, ale ten nie tylko, iż takowój odmówił, ale chce z niej zrobić waryatkę.

Wielki książę uważnie i cierpliwie wysłuchał opowiadań rozżalonej na niewdzięcznego siostrzeńca, ciągle ją mierząc swém bystrém i przenikliwém okiem, jakby niedowierzając; ale widząc głos prawdy przekonał go, bo ze zwykłą sobie złością wydał rozkaz:

— Kobiętę tymczasem czém posiłnić, a po kapitana G. posłać ordynansa niezwłocznie.

Gdy zawołany, nie wiedząc o niczém, cokolwiek zdziwiony



Lamy (str. 22).

— Wziąć ją do policyi — wołał na rozstawionych policyantów, co też ci, mimo oporu i złorzeczeń kobieciny, wnet spełnili.

Cała ta scena, lubo się odbywała na tyłach świty cesarzewicza, sprawiła pewien nieład, który widać nie uszedł bystrogo ucha księcia, bo się zaraz do stojącego vice-prezydenta policyi nachylił i z cicha wydał rozkaz:

— Rzecz zbadać, a kobietę, jeśli nie waryatka, mnie przedstawić.

Nazajutrz już o ósmój rano rzeczona kobieta była na pokojach wielko-książęcych w Belwederze.

Skoro książę wszedł, upadła mu do nóg i szlochając wyznała, jako jest rodzoną siostrą matki pięknego i eleganckiego kapitana, zatem jego ciotką. Że gdy rodzice kapitana pomarli, ona przyjęła do domu sierotę, ona go wychowała, dawała pierwsze nauki, jój staraniem był pomieszczony w miejscowej

wczesném nadzwyczaj zapotrzebowaniem, w progach wodza swego stanął, książę kazał go wpuścić do swego gabinetu.

Tam przybyły zastał już owę ciotkę swoją, przerażony cały, zrozumiał, o co chodziło.

— Kapitanie — rzekł do niego wielki książę, surowym, nieco gniewnym głosem. — To nie żadna awanturka, pijaczka, waryatka, jakbyś chciał, aby wierzono; to twoja druga matka, co cię wychowała i uczyła, bez niej nie byłbyś tém, czém jesteś. Wstydz się czarnej niewdzięczności swojej, właściwój tylko duszom nikczemnym a podłym. Ucałuj te ręce natychmiast, co cię wyniańczyły, karmiły, a od dziś dnia co miesiąc przyniesiesz ze swojej oficerskiej gaży po dziesięć rubli na ręce mojego sekretarza. Ja znowu dodam imperyała mojego téj biedaczce za to, że mi dzielnego oficera, aczkolwiek mało wdzięcznego dobroczyńcom swoim, wychowała.

Nie potrzebuję nic dodawać o skonfundowaniu oficera eleganta, a radości ubogiej wdowy, jego ciotki.

L a m y.

Lama jest wielbłądem amerykańskim. Zwierzęta te przebywają przeważnie w okolicach górzystych, na stokach Kordylierów. Peruwianie od niepamiętnych czasów hodują lamy, które im wielkie oddają usługi, dostarczają mięsa, nabiału, szczególnie zaś są pożyteczne do dźwigania ciężarów. Rysunek nasz przedstawia takie juczne lamy i przewodników krajowców. Odmienny nieco gatunek lamy, wigonią zwany, dostarcza pięknej i miękkiej wełny.

KARLSBAD.

Legenda Czeska.

Był to jeden z najskwarniejszych dni Czerwca roku 1370. Promienie słońca rozpałały skały Rudawy czeskiej, zaglądały w ciemne głębie wąwozów i przepaści, odbijały się w kryształowych wodach górskich strumieni, przedzierały się nawet przez gęste gałęzie lasu, okrywającego stoki wyniosłych szczytów. To też wszystkie zwierzęta szukały ochrony przed upałem, ptaszki pochowały się do gniazdek, wiewiórka uciekła do swej nory, żabka wskoczyła do wody, a jaszczurka skryła się pod liściem paproci i cisza głęboka zapanowała na leśnej polanie.

Naraz spokój ogólny przerwany został trzaskiem gałęzi i z gestwiny wybiegł olbrzymi jelen; zatrzymał się nad słuchając i pomknął dalej na wierzchołek skały, wznoszącej się w pobliżu. Na łące rozległ się odgłos rogów myśliwskich, psów szczekanie i ku wielkiemu przerażeniu mieszkańców lasu, kilkunastu jeźdźców w świetnych szatach ukazało się między drzewami. Jeden z myśliwych wyróżniał się zarówno strojem wspanialszym, dzielniejszym rumakiem, jak i wyniosłą, pańską postawą; był to król czeski, Karol I, a zarazem szósty tego imienia cesarz niemiecki, polujący w lasach jednego ze swych poddanych. Jeźdźcy pogonili za jeleniem, a ten, nie widząc już innego dla siebie ratunku, skoczył i zniknął w głębi wąwozu. Psy stanęły, myśliwi spojrzeli na siebie, zawód malował się na ich twarzach.

— Szkoda naszego trudu — mówili jedni.

— Wstyd powracać z próżnemi rękami — dodawali drudzy.

— Prawdę mówicie, panowie, wstyd byłoby z niczém powracać — rzekł cesarz — to też mam nadzieję, że z pomocą świętego Huberta złapiemy wymykającą nam się zwierzynę.

— Nie myślicie przecie, miłościwy panie, gonić ję po tych urwiskach? — zapytał jeden z jeźdźców.

— Dlaczegożby nie? — odparł król.

— Niebezpiecznie było...

— Kto się obawia, niech pozostanie — zawołał król, dając za oddalającym się głosem psa.

Dworacy, zawstyżeni ostatniemi słowami króla, pośpieszyli za nim. Wązka i stroma ścieżka zaprowadziła ich do stóp skały, gdzie leżał jelen, przeszyty strzałą królewską; Karol pchnięciem noża zakończył męczarnie biednego zwierzęcia. Myśliwi dopiero teraz uczuli upał i znużenie, a widząc ukazującą się wśród lasów łączkę, skierowali się ku niej.

Dziwny widok przedstawił się ich oczom; środkiem rozległej doliny płynęła rzeka, o kilkaset jednak kroków od jej brzegu, strumień wody wytryskał wysoko, a spadając tworzył jezioro, którego wody łączyły się z rzeką korytem, jakby wykutem w kamieniu, nad jeziorem unosił się obłok białej pary. Jeźdźcy patrzyli zdumieni.

— Czary — szeptali, żegnając się — czary, uchodźmy ztąd.

Cesarz, który podjechał do rzeki, by w nią opłukać ręce, krwią jelenia zbroczone, upuścił nóż swój; kindżał potoczył się i upadł w koryto, odprowadzając wodę z basenu; jeden z rycerzy podążył, by wydobyć drogą królowi pamiątkę, jakież było zdziwienie obecnych, gdy ujrzeli, że nóż pokrył się masą kamienną.

— Panowie — wyrzekł cesarz — Bóg karze nas za zgwałcenie polowaniem dnia niedzielnego, sprowadzając nas w miejsce, przez złego ducha zamieszkane, uchodźmy ztąd, póki można — i zwracając konia odjechał na czele orszaku.

Przez długi czas miejsce to służyło, jako zaklęte; podróżni z dala je omijali, wieśniacy na wspomnienie źródła Karola żegnali się pobożnie, znacznie później dopiero, gdy wiara w czary i gusła osłabła, przekonano się o skuteczności źródła gorącej wody. Dziś tysiące osób zjeżdża się z krańców świata, by w Karolowych Warach, zwanych przez Niemców Karlsbadem, ratować nadwątłone zdrowie i do dzisiejszego dnia ukazują skałę, z której ów jelen miał skoczyć, zowiąc ją Hirschsprungiem.

L. T.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez Mayne-Reid'a.

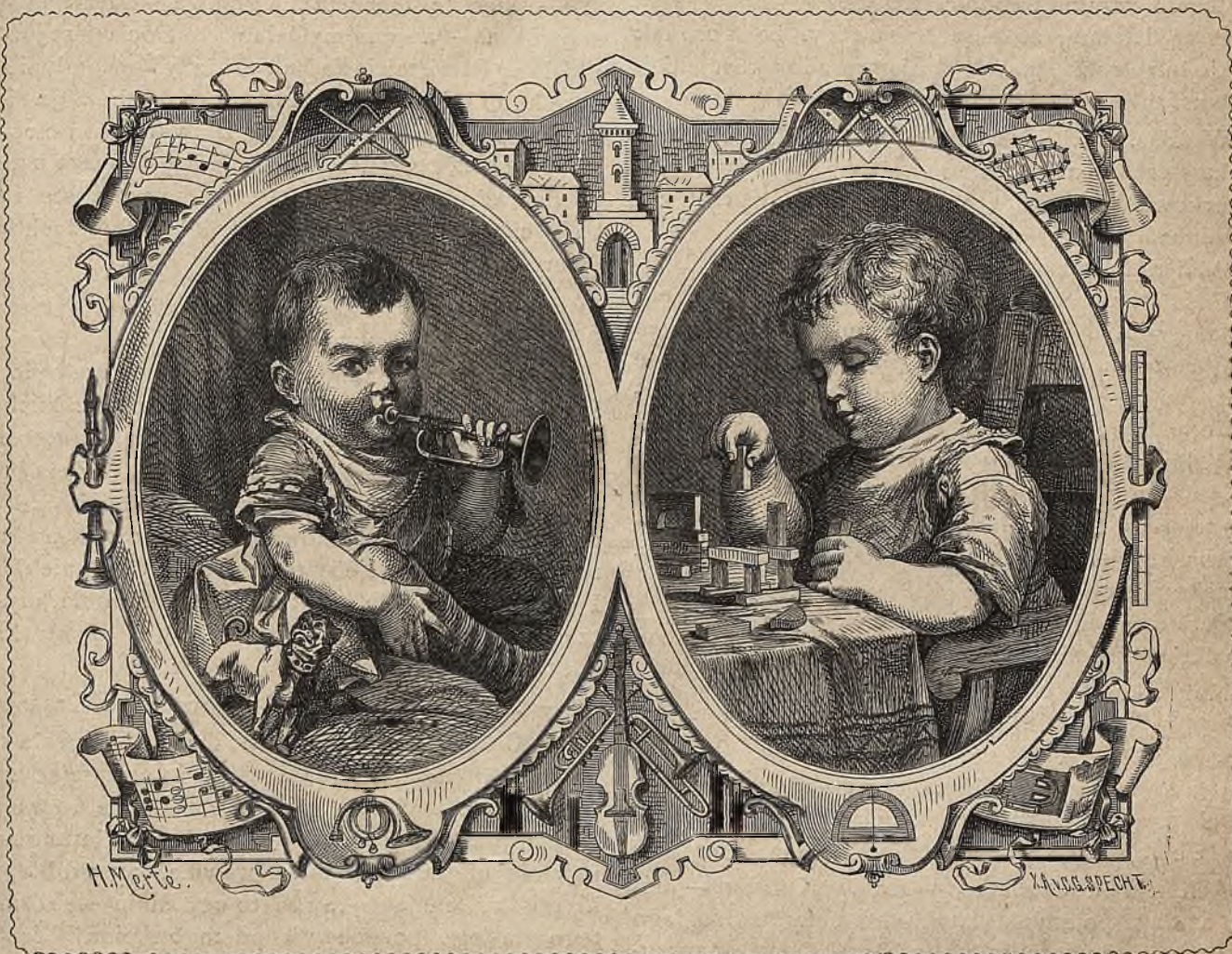
(Dalszy ciąg).

Może w rzeczy samej śmiesznie było, z jego strony starać się o miejsce marynarza, mając powierzchowność tak niestosowną do tego rzemiosła. Strój wiejski zdradzał go odrazu, każdy, spojrzawszy tylko na niego, wiedział, z kim miał do czynienia, dla tego też rzucano mu w oczy te drwiące przezwiska: pastucha, poganiacza i odsyłano go do pługa i trzody. Rozważywszy to wszystko w myśli, Henryk postanowił wejść do składu, gdzie sprzedawano ubrania gotowe i po kwadransie wyszedł ztamtąd przebrany od stóp do głowy w strój marynarski. Wydał na to prawie wszystkie pieniądze, jakie posiadał, ale cieszył się myślą, że teraz już przynajmniej ulicznicy nie będą się na niego gapili, a gdy się pokaże na okręcie, łatwiej może uwierzą w jego zdolności do rzemiosła marynarza.

Tak przebrany, zbliżył się znowu do okrętu Kalypso i przechadzał się na wybrzeżu, wyglądając powrotu kapitana. Wkrótce jednak zaczął dotkliwie uczuwać znużenie. Od ośmnastu godzin był na nogach, a przez cały ten czas nie nic jadł, oprócz kawałka chleba z szynką; posiłek ten kupił w sklepiku za parę groszy i spożył stojąc, to też teraz czuł nieprzewycięzoną potrzebę wypoczynku, do czego i głód się przylączył. Nie chciał jednak oddalać się od okrętu, aby nie utracić ostatniej sposobności osiągnięcia upragnionego celu. Zaczął więc szukać oczyma spokojnego kąca, gdzieby się mógł usadowić. Stos drzewa bułdcowego wydał mu się do tego najstosowniejszym, usiadł więc na dużej kłodzie, zwracając się tak, aby mieć ciągle przed oczyma okręt Kalypso.

W tej chwili dwie kobiety ukazały się na tylnym pokładzie statku amerykańskiego. Jedną z nich była to młodziutka panienka, drugą, kobieta lat średnich, a o ile z daleka sądzić było można, obie wyglądały na osoby, do lepszego towarzystwa należące. Zbliżył się do nich ów młodzieniec, który tak uprzejmie przyjął Henryka na pokładzie i rozmawiać z nimi zaczął. Obie te panie ubrane były po domowemu, bez kapeluszy, jakgdyby mieszkaly na okręcie.

— Czy podróż mają odbyć na tym statku? — pytał Henryk w duszy — ale pocóżby w takim razie tak wcześniej się wybrały? Wszak Kalypso jeszcze nie odpływa. A może to



Grzeczne dzieci.

GRZECZNE DZIATKI.

Zajęci, ojciec, mama,
Zajęta niańka stara,
Dziateczek małych para
Ślicznie bawi się sama.

Staś artysta prześlicznie
Tnie na trąbie poleczkę,
To wesoło troszeczkę,
To znów melancholicznie.

Jaś wielki budowniczy
Buduje gmach wspaniały,
Chłopak w pracy wytrwały,
Myśli, mierzy i liczy.

Tak to bawią się dzieci,
Za to bardzo być może,
Pójdą biegać po dworze,
Skoro słońce zaświeci.

NAUKI CZUBATKI.

Była to sobie śliczna kura biała z ogromnym czubem,
nazywała się Czubatka. Przechadzała się raz Czubatka

po dziedzińcu folwarcznym, co zobaczyła ziarnko na
ziemi, to je dziobnęła i szła dalej. A wtém przebiegła
obok niej młoda kokoszka Krasnopiórka, tak nazwana,
bo miała ładne piórka jaskrawe. Czubatka przystanęła,
potrząsała swoim pysznym czubem i zawołała:

— Koko, kokoko, koko!

A Krasnopiórka zatrzymała się także i na odpowiedź
wykrzyknęła:

— Kokokoko, kokokoko!

To, co powiedziała Czubatka, miało znaczyć w języ-
ku kur:

— Co za roztrzepaniec z ciebie, moja Krasnopiórko;
gdzieś to biegałaś? Widziałam cię aż przy budzie Burka.

A Krasnopiórka odrzekła:

— Bo tam były okruszynki chleba, ciociu Czubatko,
i ja je pozbierałam. Ale nieznośny ten Burek, wyklóci-
łam się z nim dobrze.

— O cóż się ty się z Burkiem kłóciła? To pocziwe
psisko, nic nam złego nie robi.

— Ale śmieje się ciągle ze mnie, ciociu, a ja tego nie
lubię. Zobaczył, że ja dziobię piasek i polykam razem
z okruszynami chleba, więc dalej żartować ze mnie: „Ach,
co to za niemądre stworzenia te kury, żeby jeść piasek.

One nawet tego nie rozumieją, że w piasku żadnego pożywienia niema, więc na nic się nie przyda jeść piasek.”

— Cóżes ty mu na to odpowiedziała?

— Powiedziała, że on sam niemądry, bo skoro tak wszystkie kury robią, nawet i najstarsze i najrozumniejsze, to musi to być na coś potrzebne.

— Widzisz, moja Krasnopiórko — rzekła poważnie Czubatka — zamiast się gniewać, lepiej było wytłomaczyć Burkowi, dlaczego to ptaki piasek i zwir przełykają z jedzeniem.

— A kiedy ja sama nie wiem, dlaczego.

— Boś jeszcze młoda i niewiele umiesz. Na drugi raz, jak się spotkasz z Burkiem, to mu powiedz: Acan masz dobre zęby, wszystko niemi przegryzasz, dziwo, że nie potrzebujesz jeść piasku. My ptaki połykamy twarde ziarno, cóżby to było, żeby ono tam w całości siedziało w żołądku? Ale umiemy sobie radzić, przełykamy razem ziarenka piasku i żwiru, i tam w naszym żołądku robi się to samo, co we młynie: twarde te odrobiny piasku i żwiru rozcierają pokarmy, jak kamień młyński zboże na mąkę przerabia.

— O, jak to dobrze, że mi to ciocia opowiedziała — mówiła Krasnopiórka.

— Kukuriku! kukuriku! — ozwał się w tej chwili chrapliwy głosik. Był to braciszek Krasnopiórki, młody kogucik Koralik.

— Jak się masz, Koraliku — rzekła Czubatka — jeszcze cię dziś nie widziałam, tak ciągle biegasz, prawdziwy z ciebie latawiec.

— Ach, ciociu Czubatko — mówił Koralik — dziś miałem aż dwa pojedynki z temi kogutami z drugiego podwórka. To dopiero hołota, tchórze. Jeden naprzykład, niech ciocia sobie wyobrazi, gdy go porządnie dziobnął parę razy, zaczął uciekać, schował się w chwastach, ja go szukam na wszystkie strony, a on dalej kwokać jak kura, myślał, że mnie zwiedzie.

— Jaki też to złośnik z ciebie, mój Koraliku — odezwała się Krasnopiórka — poco ty się tak ustawicznie bijesz z temi kogucikami? Co one tobie złego robią? Ten Złotaszek z drugiego podwórka bardzo jest miły i dobrze wychowany.

— Znasz się! ach, co to za niemądre stworzenia te kokoszki — zakrzyczał Koralik — już ja mu dam, twemu Złotaszкови.

— Dajże pokój — mówiła Czubatka — dobrze bardzo, że jesteś odważny i nie uchylasz się od pojedynku, nie trzeba jednak przebierać miary. A jak też ci się głos wyrabia, nieźle już piejesz, niezadługo będzie z ciebie wcale czupurny kogucik.

— Alboż to ja dziś nie czupurny? Toż nie jestem już dzieckiem, mam sześć miesięcy.

— Tak samo, jak i ja — dodała Krasnopiórka.

— No, zapewne — mówiła Czubatka — powinniście już mieć rozum, a tymczasem jeszcze wam zawsze pstro w głowie.

— A ciocia to ciągle znów tylko gderze — rzekł Koralik — dziwo, że nie jesteśmy tak stateczni, jak ciocia, co już ma pewno z dziesięć lat.

— Co, co — przerwała Czubatka z oburzeniem — ten

smarkacz ma mnie za jakąś zgrzybiałą kwokę; dziesięć lat! ja jeszcze i ośmiu nie mam.

— Niechże się ciocia nie gniewa — odezwała się Krasnopiórka — ja sama myślałam, że ciocia jest już bardzo sędziwa. Pamięta ciocia, jak to kiedyś gospodyni zabrała parę kur i kilkanaścioro kurcząt do kuchni. Ja się okropnie przestraszyłam, bo mi się zdawało, że i ciocia na tę straszną rzeź poszła. Ale mnie jedna kwoczek uspokoiła, powiedziała, że ciocia już za stara na piecyste i że chyba ciocię kiedy ugotują na rosół, jak kto zachoruje we dworze.

— Niech im tam wszystkim Pan Bóg daje zdrowie — powiedziała Czubatka z westchnieniem.

— Oj, żeby nie ta kuchnia, toby dobrze było żyć na świecie — rzekł Koralik — za mną już raz kuchcik gonił, ach, jak gonił, ale schowałem się za płotem, a on złapał jakąś kokoszkę niebogę. Taki byłem przestraszony, jeszcze mnie jakiś wróbelek wyśmiał. „A to czemuż nie umiesz latać, mówił, co to z was za ptaki, że latać nie umiecie. Mnieby tam żaden kuchcik nie dogonił.” I doprawdy, ciociu Czubatko, nieraz sobie myślałem, czemu to my latać nie umiemy, choć mamy skrzydła, jak wszystkie inne ptaki?

— Ach, prawda, czemu? — powtórzyła Krasnopiórka.

— Co też to wam w głowie, dzieci! — ozwała się Czubatka, podnosząc główkę do góry i potrząsając wspaniałym czubem — chciałybyście być podobne do wszystkich innych ptaków. Prawda, że my kury nie latamy, a przynajmniej nie tak wysoko i wprawnie, jak wróble, jaskółki, pliszki; ale jakże my za to ogromnie się różnimy od tego ptasiego pospólstwa, od tego gminu! Żebyś wiedział, Koraliku, w jakiej nędzy te biedne ich pisklęta na świat przychodzą, tobyś pewnie nie chciał być do nich podobny. Krasnopiórka przestraszyłaby się, żeby zajrzała do gniazdka wróblicy lub sikorki, ona takie ma litościwe serduszko.

— Jakże one wyglądają, te nieszczęśliwe pisklęta, ciociu Czubatko?

— Wyobraź sobie, że owe biedactwa wykluwają się z jajek nagie, bez piórek, ślepe, w niczym sobie poradzić nie umieją. Dlatego to rodzice muszą dla nich takie wygodne gniazdeczka budować, a ile to mateczki z niemi mają kłopotu, nim je odkarmią trochę. Pamiętajcie, jak wy oboje i rodzeństwo wasze całe wykuło się z jaj? Takie z was były żwawe kurczątko, a oczęta błyszczały wam, jak pacioreczki. Biegałyście zaraz za matką, zbierały różne okruszyny, aż miło było patrzeć.

— Biedneż te pisklęta — mówiła Krasnopiórka.

— Czego biedne? — zawołał Koralik — przecież wyrastają z tej ślepoty i opierają się prędko, a potem fruwają sobie tak prześlicznie w powietrzu i kuchcików się nie boją.

— Alboż to myślisz, że w powietrzu niema różnych rabusiów, gorszych jeszcze od kuchcików? — rzekła Czubatka — a jastrzębie, kruki, i inne drapieżniki.

— Złotaszek! Złotaszek! — wykrzyknął Koralik — już mu tu dam! Nie schowa się teraz przedemną — i pomknął jak strzała za drugim młodym kogucikiem,

a Krasnopiórka pobiegła przypatrzeć się bitwie. Czubatka kiwnęła czubem i dalej przechadzała się poważnie po podwórku.

Przygody nieposłusznej Adelci,

TEÓMACZYŹA Z ANGIELSKIEGO L. T.

(Dalszy ciąg).

— Teraz zbombardujemy twierdzę — zawołał starszy chłopczyk, rzucając kamyczki na mury.

Tego już było za dużo, Adelcia nie mogła się powstrzymać i podbiegając ku dzieciom, zapytała:

— Czy mogę pomóc wam do zburzenia twierdzy?

Jasnowłosa dziewczynka spojrzała na nią ze zdziwieniem, a odsuwając się, powiedziała bardzo grzecznie, ale zarazem stanowczo:

— Mama nie pozwala nam bawić się z nieznanymi dziećmi.

Zaledwie wymówiła te słowa, Adelcia odwróciła się zarumieniona z oczami pełnymi łez i uciekła do Kostusi. Zdawało jej się, że wszyscy śmieją się z niej i wytykają ją palcami za to nieposłuszeństwo, ale obróciwszy się, ujrzała, że dzieci burzyły zamek i pewno już o niej nie myślały wcale.

Gdy przybiegła do Kostusi, bawiącej się tak spokojnie swoją babką, zaczęła serdecznie żałować, że od niej odeszła, bo i cóż dobrego zrobiła? Nie bawiła się z siostrzyczką; jasnowłose dzieci pewno wzięły ją za jaką bardzo źle wychowaną dziewczynkę, a co gorsza, nie usłuchała rodziców!

Było to bardzo smutne i Kostusia nie wiedziała, jak pocieszać strapioną Adelcię.

Rozmawiały jeszcze o tej przygodzie dziewczynki, gdy ojciec zawołał na nie, bo już czas było wracać do domu. Kostusia pobiegła naprzód, Adelcia ze spuszczoną główką szła za nią powoli.

— Jakżeście się bawiły? — zapytał ojciec.

Adelcia milczała, a Kostusia zaczęła wesoło rozpowiadać o przyjemności, jakiej doznała na wybrzeżu.

— Adelciu, dlaczego zostawiłaś Kostusie samą? — zapytała mama.

Dziewczynka spuściła główkę.

— Mam ci coś powiedzieć, mamuniu — rzekła pocichu.

— Może poczekasz, aż wrócimy do domu?

— O nie, mameczko, posłuchaj mnie teraz; byłam bardzo niegrzeczna, bo poszłam do tych dzieci i prosiłam, żeby mi pozwoliły bawić się z sobą — i Adelcia spojrzała na matkę, oczekując ze strachem, co mama odpowie. Mama odparła spokojnie:

— Bardzo dobrze, że mówisz prawdę, Adelciu; chociaż nie mogłabyś ukryć tego przedemną, bom wszystko widziałam.

— A czy mama bardzo się gniewa?

— Więcej mnie to zdziwiło i zmartwiło, niż rozgniewało; nie przypuszczałam, żebyś była tak nieposłuszna. Ojciec prawie nie wierzył swym oczom, gdy cię zobaczył rozmawiającą z temi dziećmi.

Adelcia o mało się nie rozplakała; ale zanim miała czas się odezwać, mama dodała:

— Co ci odpowiedziała ta dziewczynka i dlaczegoś tak od niej uciekała?

Adelcia zaczerwieniła się i opowiedziała wszystko, lecz tak cicho, że mama nie dosłyszała.

Nie łajała jednak Adelci, widziała bowiem, że dziewczynka bardzo żałowała swego postępu, a upokorzenie, jakiego doznała, było już dostateczną karą.

ROZDZIAŁ III.

— No, i którą dziewczynkę zabierzemy z sobą do państwa D.? — zapytał ojciec podczas drugiego śniadania.

— Kostusie, Adelcia nie chce się poznać z temi dziećmi — odrzekła mama i spojrzała znacząco na zarumienioną córeczkę.

Po wyjściu rodziców, Adelcia zaczęła żałować swego pośpiechu w osądzeniu nieznanomych jej jeszcze dzieci; nudziła się, zostawszy samą, chodziła z kąta w kąt, wyglądała oknem, nie wiedziała co robić, wreszcie, może po godzinie oczekiwania, usłyszała głosy rodziców, i wybiegła, aby ich powitać.

— Cóż tu robiła? — zapytał ojciec.

— Okropnie się nudziła — odpowiedziała — jak to dobrze, że mama już wróciła. Ale gdzie Kostusia?

— Została tam na herbacie i pewno nie wróci przed wieczorem — rzekła mama.

— Ach, jaka szkoda, nie będę miała z kim się bawić!

— I pewno nie będziesz miała z kim pójść na spacer, bo my mamy się przejechać z panią D. Nie powinnaś mieć jednak żalu do nikogo; żebyś była chciała, byłabyś poszła z nami do tych państwa.

— Czy te dzieci są grzeczne? — spytała Adelcia po chwili.

— Zdaje się, że są grzeczne, chociaż widziałam je tylko bardzo krótko; Kostusia będzie ci to mogła lepiej odemnie opowiedzieć.

— Czy mają ciemne włosy? ile ich jest? w jakim są wieku? czy to chłopcy, czy dziewczynki? — pytała Adelcia.

— Nie wiem doprawdy — rzekł ojciec — po co tak się o to dopytujesz, nie chcesz ich przecież poznać i zawczasu już ich nie lubisz. Jeżeli jednak jesteś taka ciekawa, to wyjrzyj oknem, te dzieci miały pójść z Kostusią do ogrodu, więc będziesz mogła je zobaczyć. Dziwna to była rzecz naprawdę: Adelcia, która nie miała przedtem żadnej ochoty poznać tych dzieci, teraz tak gorąco się o nie dopytywała.

— Do widzenia, Adelciu — rzekła jej mama, gdy powóz zatrzymał się przed domem — żał mi cię, że się znużysz, ale pamiętaj, że to twoja wina.

Adelcia miała wielką ochotę poprosić mamy, żeby jej pozwoliła pójść także do ogrodu pobawić się z Kostusią i z tamtymi dziećmi, ale się zawstydziła, bo czuła swoje winę; pocałowała tylko mamę w milczeniu i stanęła przy stole, smutna, niezadowolona z siebie i ze wszystkiego.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe. (Kropelka Rosy).



Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 1-go.

Zagadki:

Zaraz.

Skrzynka do listów.

Srebrna Brzózka musi być zadowolona, gdyż na zapytanie o gwiazdach spadających znalazła odpowiedź obszerną w 1-szym N-rze tegorocznym, w pogadance naukowej. My też z zajęciem wielkiem odczytaliśmy liścik i dowiedzieliśmy się z niego, że i w kraju naszym, w niektórych okolicach przynajmniej, piękne to zjawisko było widzialne. W Warszawie dnia tego niebo chmurnami było przysłonięte. Co do powiastki, początek jest niezły, trudno jednak wypowiedzieć zdanie stanowcze, nie znając całości. Księżniczka wysłana, dołączony dla ubogich rubel oddany według przeznaczenia.

Wiochna z pod Lublina oddawna znaną jest dobrze w naszej redakcji i serdecznie kochaną. Nie wiemy, co się dzieje z Rózią z Berdyczowa, która takie ładne szarady przysyłała do naszego Pisma, podobno kończy jakiś zakład naukowy w Kijowie.

Wiochnie imienniczka jej z pseudonymu przesyła następujący liścik:

„Kochana Wiochno! Przez jakąś sympatyą widocznie obrałyśmy sobie jednakowe pseudonymy. Tobie pewnie, równie jak i mnie, podobala się śliczna sielanka naszego poety Lenartowicza p. t. „Wiochna”. Ja wiem ją całą na pamięć. Polecając się twojej przyjaźni, przesyłam ci uściśnienia,

Wiochna z pod Lublina”.

Brzózce litewskiej serdecznie dziękujemy za rubla przesłanego dla ubogiego ucznia. Początek powieści Raperga był dodany przy N-rze 2-gim. Przez nieuwagę drukarni te dwa arkusze zamieniono. Byliśmy pewni, że kochane czytelniczki, którym powieść „Reginka” tak się podobała, z radością powitają w drukującym się obecnie „Prawdziwem bogactwie” dawnych znajomych. To też nie tylko czytelnicy, ale i my szanownej autorce tej powieści serdecznie za nią jesteśmy wdzięczni. Mapy polskie ściennie są tylko dawne i drogie, nabywać ich nie radzimy.

Skrzydlaty Pegaz wielką nam sprawił przyjemność przesłaniem swojej fotografii. W pierwszej chwili, widok takiego młodziutkiego Pegaza zadziwił nas trochę, bo sądząc z pięknej kaligrafii i poważnych wyrażań w liścikach, wyobrażaliśmy go sobie znacznie starszym. Po chwili dopiero spostrzegliśmy w liściku wzmiankę, że fotografia przeszło przed dwoma laty była robiona. Ale niechże Pegaz zaspokoje już ostatecznie naszą ciekawość, doniesie ile ma lat i wypisze prawdziwe imię i nazwisko.

Jagódce podolskiej i Kotkowi ślicznie dziękują ubogie dzieci, tak hojnie przez nich obdarzone. 3 rs. oddano biednemu dziecku,

którego rodzice wszystko stracili w czasie pożaru, a 3 rs. drobnym sierotom, wychowywanym przez ubogą ciotkę, także liezną rodziną obarczoną. Pewnie najpiękniejsza choinka nie sprawiłaby kochanej Jagódce i Kotkowi takiej przyjemności, jak ta myśl, że zrzekając się dobrowolnie choinki, spełnili dobry uczynek. Oby wszystkie dzieci miały tak pocziwe serduszka.

Malina z Siedlec niesłusznie obawia się surowej reprimandy, ciekawość jej bowiem nie ma w sobie nic nagannego, tylko... niechże znów Malina kochana nie gniewa się na redakcję za to, że jej w żaden sposób zaspokoić nie może i zapytanie musi pozostać bez odpowiedzi. Za łamigłówki dziękujemy.

Szarotce. Rozwiązanie łamigłówki trafne. Prawie wszystkie szarady i zagadki, drukowane w „Wieczorach” nadsyłane są przez czytelników; wybieramy z nich jednak tylko najlepsze, gdyż wszystkie nie dałyby się pomieścić w żaden sposób.

Liść herbaciany nie może sobie nawet wyobrazić, jak wielką nam sprawił przyjemność długim swoim listem i opisem letniej wycieczki. Wyjątki z tego opisu wydrukujemy w „Wieczorach”, gdyż pewnie zajmą wszystkich czytelników. Umieemy to ocenić, że młodzieniec tak pilny i pracowity znalazł jednak czas na to, aby wrażeniami swojemi podzielić się z nami, i serdecznie, po tysiąc razy za to dziękujemy.

Jeleń (z ptaka przemieniony w czworonoga) nadesłał trafne rozwiązanie łamigłówki, oraz obietnicę, że napisze odpowiedź na zadanie konkursowe. Czekamy więc jej spełnienia, zadania są podawane raz po raz. Orzełek warszawski, o ile wiemy, chodzi do gimnazjum w Warszawie, ma imię Henio, ale zapomniał o nas zupełnie, dawno bardzo nie pisał. Może się teraz odezwie, otrzymawszy pozdrowienie od kolegi Jelenia. Łamigłówkę wydrukujemy.

Słowiczek warszawski nadesłał dwie łamigłówki, trudne do odczytania, bo je niewyraźnie bardzo nagryzmolił ptasiemi swoimi łapkami. Niechno Słowiczek zada sobie troszkę pracy i wypisze je porządniej, na większym kawałku papieru, a może będą wydrukowane.

Jaskółka z nad Bugu dobrze ułożyła łamigłówkę, nie możemy jednak ręczyć, czy będzie wydrukowana, bo nazwisko niezbyt słowne, ileż to innych wybrać można, sympatyczniejszych dla naszej młodzieży.

Akacy dziękujemy za łamigłówkę, która będzie pewnie miłą niespodzianką dla... ale sza, niechże to będzie prawdziwa niespodzianka. Wielka to radość dla nas, że kochane czytelniczki z własnych swych oszczędności Pismo nasze wypisują, najlepszy dowód, że je z zajęciem czytają, a więc najgorętsze nasze pragnienie nie spełnione.

Janinka S. powinna być bardzo wdzięczną dobrej Mamie za rady i zawsze się do nich stosować, tak jak teraz. Niewielka sztuka napisać liścik podyktowany przez osobę starszą, nam tak liściki, zawsze łatwe do rozpoznania, mniej daleko sprawiają przyjemności, od tych, które kochane korespondentki z własnej głową układają. Błąd w liściku nie znaleźliśmy ani jednego, kaligrafia zaś jest bardzo staranna, styl stosowny, radziłyśmy podobnym liścików jak najwięcej odbierać. Łamigłówka jest dobra, umiemy ją, jeśli się miejsce znajdzie, za co nigdy napróżd ręczyć nie można.

Aleksander K. nadesłał łamigłówkę historyczną bardzo dobrą, lecz homonimów nie rozumiemy, bo nie znamy podobnego imienia żeńskiego; musi się chyba bardzo rzadko używać, niema go i w lendarzu.

P. Wielhorskiej w Krosławie. „Wieczory” zaprenumerowane 1 rs. 1 od Mani i Józki, doręczony biednemu uczniowi, żądane książki wysłane wraz z łamigłówką, pozostało reszty z przysyłanych pieniędzy kop. 70.

Pani Poziomskiej w Piłkach, p. Staniewiczowi w Poniewieżu, p. Osipowiczowi w Mozyrze i p. Markiewiczowi w Żywtowcał Żądane Pisma zaprenumerowane i książki wysłane.